



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEȚ.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## POGA WĘDKA.

Sport wszelaki zaczyna plenić się na naszym gruncie, — sport użyteczny; można to uważać za objaw korzystny i dodatni, skoro z zabawą połączony jest i cel poważniejszy.

Obok towarzystwa wioślarzy i cyklistów, zyskujących coraz więcej zwolenników, zawiązują się kółka gymnastyków, skorochodów, turystów, myśliwych i t. d.

Rozwija się niebawem ruch w tych kierunkach, rozbudza się zamiłowanie do życia czynnego, do pracy mięśniowej, do podniesienia energii organizmu cielesnego.

Nie ulega kwestyi, że z tej dawnej krewkości naszych praocjów wielce ostygliśmy z czasem, ocieżeli, sflegmatyczniali; gdzie to pokolenie do konia, korda i tańca, o którym tylko tradycja opowiada dziwy! Dzisiaj młodzież w epoce rozkwitu „sensatów udaje,” nieruchawa jakaś, anemiczna, na konia wsiąść się boi, a kiedy się odważy, to chyba po schodkach wylazłaby na niego, z wygodami i z jaknajmniejszym wysiłkiem.

W tańcu posuwa się sztywno, powolnie, i to ją męczy rychło, a z pod pieców i z kątów trzeba ściągać mazurzystów.

O kordzie niema i mowy; kto tam dzisiaj krzyżową sztukę uprawia, na co to komu się przyda? I tak ta dawna, przechwalona tężyzna zapodziała się gdzieś w chuderławem, spokojnem, apatycznym pokoleniu.

W ostatnich czasach wszelako z tej śpiączki zaczęliśmy się budzić; coraz więcej ślady zuchowatości zjawiają się wśród filisterskiej rzeszy. Wzrastająca lista członków naszych „ruchliwych” stowarzyszeń klubowych daje tego dowody; wio-

slarze i cykliści dużo pod tym względem mają zasługi, przykład działa zachęcająco. Młodzieniec chudy i pogięty, jak paragraf, ujmuje wioślo dosiada stalowego rumaka: rozprostowuje się, wylamuje sobie członki, nabiera sprężystości, inny człowiek w nim się rozrasta. Nabiera muskułów, humoru, apetytu, odwagi, i staje się „dzielny” nie tylko z tytułu.

Słyszałem, iż do dwóch towarzystw wyżej wspomnianych przybyć ma trzecie; podobno zawiązuje się towarzystwo gymnastyków, któremu możnaby z góry wróżyć powodzenie i licznych zwolenników.

Według zamierzonej reformy gymnastyka obowiązkowo ma być zaprowadzoną we wszystkich szkołach średnich i traktowaną racjonalnie

Innowacja bardzo słuszną, bardzo pożądaną; sedenteryjne życie, jakie nasza ucząca się młodzież prowadzi musi, najfatalniej oddziaływać na zdrowie i fizyczny rozwój młodego pokolenia, pozbawionego ruchu i warunków prawidłowego wzrostu.

Ten ruch zbawiennie oddziaływałby i na starszych; zauważcie tylko, ile się u nas siedzi w Warszawie, a jak mało chodzi. Spójrzycie zresztą na tych piechurów, którzy się snują ulicami bardziej ludnemi: jak to po większej części wlecze się ocieżale, bez gibkości w członkach, bez energii muskułów i temperamentu w chodzie, i porównajcie tę względną powolność z ulicznym ruchem przechodniów w takim Wiedniu lub Paryżu; co za różnica!

Nie jest to objaw przypadkowy, ale ma on swoje powody fizycznej natury w organizmach, całym trybem życia skostniałych, ocieżalych, zgrubiałych, w stawach i członkach rozleniwionych.

Zauważyć to można nawet w dzieciach anemicznych i rachitycznych po większej części, które dłużej biegać, skakać, figlować z większym oży-

wieniem i wytrzymałością bardzo rzadko potrafią.

Gymnastyka tedy przydałaby się bardzo nam wszystkim, bez wyjątku, młodym i starym, aplikantom i emerytom życia.

Wspominałem już o projekcie zawiązaniu kółka turystów w celu robienia bliższych i dalszych wycieczek po kraju; nie chcę się powtarzać, wliczając dodatnie strony i korzyści takich ekskursji, odwołując się do obowiązków „poznania swego,” skoro się tak często „czudze przechwala.”

Obecnie przy ułatwionej komunikacji nie byłoby rzeczą wcale trudną zwiedzić najpiękniejsze okolice w Kieleckiem lub Sandomierskiem, a niewątpliwie nie brakłoby i chętnych zwolenników takich wycieczek, gdyby się znalazł ktoś z inicjatywą, któryby umiał i chciał zająć się ich zorganizowaniem.

Od czasu do czasu odgraża się jakiś odważny anonim, że to zrobi, reporterzy donosi o przygotowaniach, o pewnym kółku miłośników pięknej przyrody i wrażeń, którzy wybierają się wspólnie w podróz, ale zdaje się, że rzecz sama z dziedziń projektów nie wychodzi i „kółko” pozostaje na miejscu, zmieniawszy zamiar, którego nie umiało wykonać.

W ostatnich dniach wyczytałem znowu wiadomość, iż ktoś, jakiś tajemniczy inicjator, nosi się z gorącą myślą założenia całego klubu turystów w Warszawie; jeszcze lepiej. Tylko znając już losy owych projektów, nie bardzo dowierzam i tym razem urzeczywistnieniu; skończy się zapewne na pięknych planach, a klub turystów pozostanie dowodem dobrych chęci i zamysłów, niedoprowadzających do żadnego celu.

Znany higienista dr Stanisław Markiewicz próbował tęsamą sprawę oprzeć na praktycznym gruncie i postawił wniosek, aby nasze Towarzystwo Ogrodnicze utworzyło osobną sekcję wycieczkową; pośrednio mogłoby to być także celem tego towarzystwa, aby członkowie jego zwiedzali



ogrody ważniejsze i okolice, szczególnie pod względem botanicznym i pomologicznym ciekawe. Zdaje się wszelako, że w zarządzie żywią pewne wątpliwości co do praktycznego zastosowania tego wniosku, skoro odłożono go *ad calendas graecas*, do rozpatrzenia w jesieni; przypuścimy zresztą, iż Towarzystwo ogrodnicze, nie mając tego w programie swoim, nie potrafi się tem zająć skutecznie, to i tak jeszcze istnieją inne towarzystwa, które przy dobrej woli mogłyby skorzystać z myśli i projektu d-ra Markiewicza.

Towarzystwo wioslarskie urządziło już wyprawę wzdłuż Wisły, cykliści zrobili wycieczkę na turniej do Łodzi i na majówkę do Jabłony, Lutnia ze śpiewem była w gościnie u Kielczan i w Częstochowej; możnaby tedy rozwinąć na szerszą skalę te zaczątki i zorganizować w łonie tych samych towarzyszt takie przygodne sekcje, nie sprzeciwiając się ustawie, któreby zastąpiły osobne kluby i nowe stowarzyszenia tymczasowo.

Nie czekając powstania klubów, dzielny sportsmen i artysta w jednej osobie Andriolli z hr. Łosiem wybrali się konno do Rabki i Zakopanego w tym roku i odwagą, na wycieczkę, nużąc się co prawda, i wymagając pewnego zasobu sił, ale oryginalną i dostarczającą z pewnością sporo wrażeń dla artysty i literata.

Gdzie te czasy, kiedy z kosztorem w rękę, z węzłem na plecach, a z teką pod pachą, podróżowało się *per pedes apostolorum*, zbierało studia, spisywało swoje obserwacje i odbywało prawdziwie „malownicze podróże“, z których wracało się pokrzepionym na siłach, z odświeżonym umysłem i wzbogaconą fantazją.

Gdzie te czasy!...

Dzisiaj kupuje się bilet drugiej klasy i jedzie się wygodnie, drzemiąc na poduszkach wagonu, dojeżdża do miejsca, wyjmując z walizki aparat fotograficzny, przytyka raz, drugi, trzeci i dziesiąty, zdejmując kilka widoków i wraca jaknajprędzej do Warszawy „ze studyów“, aby przerysowywać w powiększonym formacie żywą „naturę“, lub sceny „życiem zdjęte“ z rzeczywistości.

Nazywa się to postępem w sztuce i hołdowniem realizmowi przy pomocy niewinnych środków ułatwiających,

Na co się męczyć, po co drogi czas tracić, notować, mazać, kreślić, mozolić się nad pochwyceniem podobieństwa, perspektywy, proporcji, kształtów, kiedy mały aparatik zrobi to wszystko w okamgnieniu, a potem znanym sposobem da się powiększyć i skopiować na rysunku fotograficzną kliszę.

„Czas to pieniądź“...

Najmłodsza szkoła naszych rysowników i ilustratorów, hołduje tej zasadzie i pomaga sobie fotografią, kojarząc sprytnie sztukę twórczą ze sztuką reprodukcyjną.

— Dlaczego to robicie? — spytałem jednego z Apellesów.

— Dlatego że nam to ułatwia robotę i pomaga.

— Ah, tak!...

Ta odpowiedź przypominała mi rozmowę przy wincie pewnego jegomościa, który ma brzydki zwyczaj zaglądania na prawo i nalewo w karty swoich partnerów.

— Panie Ignacy—powiadają mu — pan zaglądasz w karty.

— To i cóż?—woła z cyniczną otwartością.

— Ależ to brzydko.

— Jak dla kogo; brzydko, ale mi to znakomicie grę ułatwia. Jeśli nie chcecie, żebym podglądał, to zakrywajcie lepiej. Pomagam sobie, jak mogę; takie jest przykazanie Boże.

Jest i w tem racja, ale rzecz mimo to pozostaje „brzydka“.

Skoro dotknąłem sztuki, winienem zanotować tryumf polskich talentów na wystawie powszechnej w Paryżu. Najwyższą nagrodę z naszych artystów, dyplom honorowy, otrzymał Józef Chełmoński za obraz, przedstawiający scenę pełną prostoty i wdzięku z motywów sielskich.

W Niedzielę, miedzą przez pola zbożem falujące, na ranną mszę idą do kościoła ludzie; na przedzie gęsiego postępują trzy urodne dziewoje, wystrojone odświeżone, a za niemi widać wynurzające się zpośród złotych łąk i dostających kło-

sów żyta i pszenicy sylwetki kilku chłopów i parobczaków.

W głębi, daleko, płaski, równy, szeroki kraj-obraz wsi mazowieckiej.

Reprodukcją tego obrazu przed jego tak zaszczytnym wyróżnieniem podał kilka numerów wstecz *Tygodnik Ilustrowany*.

W tym niewyszukanym temacie, w prostocie układu, w świeżości motywów i w jędrnym ich pochwyceniu, talent Chełmońskiego jakgdyby odżywił się, ocknął, i stworzył dzieło znakomite; obyło się tym razem bez koni, podobnych do Bucefałów i apokaliptycznych bestyi, bez tego rozkielzania temperamentu, który tak często w obrazach artysty „dęba stawał“.

Wogóle niepospolity, wielki talent Chełmońskiego zdaje się w ostatnich czasach na nowe wchodzić tory i jakby się uwziął robić niespodzianki w pewnych kierunkach krytyce i swoim wielbicielom.

Zaszczytne odznaczenie na międzynarodowym turnieju sztuki zeszło się prawie z despektem, jaki uczyniono artyście w naszym Salonie, nie przyjmując na wystawę czterech jego krajobrazów, których nie uznano za godne zawieszenia obok płócien, budzących nieraz litość lub uśmiech ironii w widzu.

Nie chciano uwzględnić, że bądźco bądź, pejzaże te wyszły zpod znakomitego pędzla, zpod ręki malarza, który ma prawo do pewnego kredytu w sztuce, nawet gdy się twórczość jego dziwadną komuś wydawać może; jest on za nią sam odpowiedzialny, a swoją przeszłością zasłużył na to, aby dlań pewne ustępstwa robiono.

W tym wypadku ostracyzm komitetu wystawowego tembardziej pobłądził, że płótna Chełmońskiego, bardzo oryginalne w sposobie malowania i pojęcia natury, nie usprawiedliwiały niczem ubliżającego odrzucenia; mogły być śmiało zawisnąć na ścianach Salonu, które bardzo wiele lichszych malowideł pstrzyło swojego czasu, prawdziwie nadużywając miejsca i pobłażliwości surowego komitetu.

Wyrok jury wystawy paryzkiej był chyba zupełnie zadośćuczynieniem talentowi artysty, który musi być słusznie urażony takim postępowaniem „swoich“.

Złoty medal przyznano Wacławowi Szymanowskiemu za „Walkę Huculów“, nad którą znowu pewien przysięgły znawca sztuki znęcał się u nas w przeciwieństwie do opinii ogółu i krytyki, oddającej duże a zasłużone pochwały temu obrazowi; taką samą nagrodę otrzymał Leopold Horowitz za portrety, które ustalony już mają rozgłos, zarówno u nas, jak i za granicą.

Pokazuje się tedy, że albo Francuzi nie znają się na sztuce, albo my zawiele wymagamy od naszych artystów, mierząc ich talent i ich obrazy paznogciem, którym skrobimy przy sposobności i dzieło i twórcę, niby krogulczym szponem.

W przeciwstawieniu z dawnym bezmiernem przechwalaniem wszystkiego i pasowaniem na wielkość każdej miernoty w danej chwili, poszła deprecyacja wszystkiego, zaprzeczanie wszelkich zdolności, lekceważenie małych a obniżanie wielkich.

— Wszystko hołota, wszystko nędza!—wołają krańcowi malkontenci — szablon, maniera głupstwo, idyotyzm. Nie mamy sztuki, ani literatury, łudzimy się tylko. Cóż my znaczymy wobec Europy! pigmeje jesteśmy. Pojęcia nie mamy o niczem. Cicho nam siedzieć i głowy nie wytykać!

Z jednej ostateczności wpadliśmy w drugą, a tymczasem prawda leży w pośrodku; znalazłoby się i u nas materiału niemało, gdyby były lepsze warunki i przychylniejsze dla rozwoju talentów. Zestawiania z zagranicą, z rozwojem sztuki literatury, prassy u obcych i u nas, nie może być bezwzględne. U nich inne stosunki, inny grunt, na którym się twórczość rozplenia, inna atmosfera, wiekowe tradycje, świetniejsze dane materialnej i moralnej natury; tego nie bierze się najczęściej w rachubę.

Nie uwzględnia się, że jedna i ta sama roślina całkiem inaczej rozwija się i owocuje na dwóch odmiennych gruntach, w odmiennych warunkach klimatycznych i meteorologicznych, co nie znaczy jeszcze, aby tu była gorsza, a tam lepsza, tylko

że tu znajduje mniej, a tam więcej przyjaznych warunków rozwoju, wzrostu i odżywiania się.

Nie należy zapatrywać się zbyt różowo, ale i zbyt czarno nie trzeba patrzeć na to, co najbliższe i co swoje.

A przedewszystkiem nie trzeba zniechęcać żadnej siły mniejszej czy większej do pracy, nie trzeba onieśmielać zbytnią surowością, krzywdzić uprzedzeniem i lekceważeniem, drażnić i ranić boleśnie krytyką, która sobie za wiele praw i godności przypisuje, zawiele wymaga od innych a zamała sama od siebie.

Możnaby dużo uwag zrobić jeszcze na ten temat, ale wolę nie rozwodzić się zanadto, tem bardziej, że obowiązek kronikarza każe mi powracać do faktów, które wyłoniły się z dwutygodniowej przeszłości.

Oto winienem wspomnieć o epilogu sprawy kolejowej, która zajmowała nasz świat finansowy przez dwa miesiące i rozbudzała gorączkę wśród akcyonaryuszów Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Belgijczycy poszli porozum do głowy i widząc, że nią muru nie przebiją, zaczęli się z murem układać; zrobili to, do czego ich jeszcze na pierwszym walnym zgromadzeniu p. Bloch uprzejmie wzywał. Wówczas nie chcieli słuchać, dzisiaj sami musieli uciec się do tego ostatecznego środka i na mocy układów z grupą reprezentowaną przez p. Kronenberga zgodzili się na zmiany w Radzie zarządczej, skutkiem której wprowadzeni przez nich członkowie pp. Gołowin, Luboradzki i Majewski zastąpieni zostali przez pp. Czackiego, ks. Stefana Lubomirskiego i gen. Palicyna. Ten ostatni, postawiwszy poprzednio warunki, które mu zapewniły niezależność i wprowadziły do Rady, jako membra zaufania, nie większości, lecz obu stronnictw pogodzonych, został wybrany prezesem; na vice-prezesów zaś zaproszono pp. Konstantego Górskiego i Leopolda Kronenberga.

Gen. Palicyn zatrzymał jednocześnie urząd prezesa Teatrów Warszawskich, nie chcąc schodzić ze stanowiska, które dopiero przed kilku miesiącami zajął, a na którym zamierza przeprowadzić reformy potrzebujące energicznego i umiejętnego kierownictwa.

Byłoby się wielu strat uniknęło, gdyby epilog sprawy kolejowej prologiem był jej wówczas, gdy doświadczone głowy przestrzegały zawziętych i butnych Belgów przed następstwami zatargu. W każdym razie dobrze się stało, że chwiejna sytuacja wrociała do równowagi i nastąpił znowu ład, który zapewnia prawidłowy rozwój interesów a zwłaszcza uspakaja opinią publiczną i sfery finansowe pod względem rozumnej, uczciwej i praktycznej gospodarki w instytucji, zagrożonej przed niedawnem jeszcze systemem rabunkowym zagranicznych spekulantów.

Ostatnią sensacyjną wiadomością w martwym sezonie był wynik układów i wyborów w powyższej sprawie; teraz nie spodziewamy się nawet w snach silniejszych wrażeń. Kanikuła zaczęła nam znowu dokuczać, kilka burz z gradem piorunów, przerwało ciszę na bruku warszawskim, z którego uciekło niemal wszystko, co szanuje swe zdrowie i siły, powonienie i dobry humor.

Doktor Fritsche wraz z komitetem opiekunek kolonii letnich wysłał resztę słabowitych dzieciak na trawę, których ze trzysta w tym sezonie spędzi wakacje na świeżem powietrzu; przyszedł rok dostarczy zapewne jeszcze więcej funduszów na instytucję tak widoczny przynoszącą pożytek, otrzymano bowiem zezwolenie władzy na zbieranie składek przez grono upoważnionych osób do wysokości 5.000 rs. rocznie.

Znając energią d-ra Fritsche, i poświęcenie dam komitetowych, można wróżyć powodzenie koloniam letnim, które ze wszech miar godne są poparcia zacnych serc i hojnych rąk Warszawy.

W nekrologii przybyło nam znowu kilka nazwisk, na cmentarzach kilka grobów, a w liście przybocznych i zasłużonych kilka luk wydartych kosą śmierci.

W Krakowie zmarł młody, zdolny i wykształcony niepospolicie professor prawa, Maurycy Fierich, szanowany przez starszych kolegów, miłowany przez młodzież.



W Warszawie zakończył żywot utalentowany rzeźbiarz Ludwik Kucharzewski, którego dzieła nosiły artystyczne piętno i wyróżniały się w tym dziale sztuki, dążące dopiero do rozkwitu; ostatnie lata zamoczyły nieszczęśliwemu artyście umysł. Zawód na konkursie krakowskim przyczynił się do odebrania zmysłów nieboszczykowi, który wiele pracy i ambicji złożył w swoim projekcie na pomnik Mickiewicza, lecz nagrody spodziewanej nie otrzymał.

Z rządu zasłużonych filantropów ubyla nam szanowna matrona s. p. Hortensya Małachowska w sędziwych latach żywota i dobroczynności, nie szukająca ani rozgłosu, ani uznania przed zgonem.

Pokój ich ceniom!...

Quis.

## KATARZYNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA SZWEDZKA.

Opowieść historyczna

skreślił

Maryan Dubiecki.

I.

(Dalszy ciąg).

Tego rodzaju roszczenia rzonego władcy wywoływały rzeczywiste niebezpieczeństwa dla Księcia Finlandzkiego i jego małżonki. Podróż Katarzyny od Rygi aż do Abo, stolicy Finlandyi, stała się prawdziwą odyseją, złożoną z trwóg różnych na lądzie i morzu. Zanim przybyli do Rewla, tysiące obaw wstrząsało biedną Jagiellonką; a niepróżne to były obawy, gdyż ich droga legła obok zasadzek wspomnianego władcy ościennego państwa i przebiegała przez zamki również nieprzyjaznego króla Eryka. „Sam Pan Bóg ostrzegł — mówi współczesna relacya, że uszli... nocą i dniem przeskakując mimo ono wojsko nieprzyjacielskie (ościennego państwa); wielkie niewczasy, głody, złe gospody wycierpieć musieli...”

Po długiej, męczącej dla ciała i ducha podróży, do Rewla wreszcie przybyli, z kąd już wodą dążyli do finlandzkich brzegów. Burze, właściwe owej spóźnionej porze roku, szalały na niewielkiej wod przestrzemi, między Estonią a Finlandyą, przybito jednak szczęśliwie i wylądowano na finlandzkich skałach. Tam już, wjechawszy w głąb kraju, rycerze księcia Jana spotykali Jagiellonkę jako panią i władczynię i podróż jej saniami do stolicy mężowskiej, do dość odległego miasto Abo, była prawdziwie tryumfalnym pochodem. Pierwsze tygodnie w nowej siedzibie upłynęły wśród spokoju, który wcale nie wróżył złej doli. Owszem, tydzień pierwszy zapełniano ucztami, uświetniano zabawą, tańcem i, jakby przedłużając goły wileńskie, urządzano świetne wesela dla kilku panien dworskich. Pierwsze to bliższe zetknięcie się nasze ze Szwedami, znaczone oznakami wzajemnej sympatii, stwierdzone słubami małżeńskimi, w przyszłości miało się zamienić na walki długie, ciężkie, ruiną okrywające nasze ziemie; ale tych dni dalekiej przyszłości, zarówno jak i bliższej grozy nieszczęść, co zawisły były nad głową Jagiellonki, nikt jeszcze nie przeczuwał: oddawano się radości chwili z całym upojeniem. A właśnie wówczas, gdy na książęcym zamku w Abo biesiadowano, w szwedzkiej stolicy burzliwe myśli wstrząsały chorobliwym króla Eryka umysłem. Zaczęły się wtedy Erykowe przypuszczenia, iż książę Jan dąży do oderwania Finlandyi od Szwecyi, lub do obalenia króla; Eryk znalazł stosownych doradców, którzy rozniecali nienawiści płomień i szerzeniem obaw

zręcznie nasuwanych, zwiększali objawy jego drażliwego, chorobliwego usposobienia.

Na następstwa podejrzeń i gniewu Eryka niedługo czekano. Kazał się on stawić bratu w Sztokholmie, dla zdania sprawy ze swych kroków; podejrzewał go o tajemne knowania z Danią i Polską. O ile w tem prawdy było co do Danii, nie wyświetlono należyte, ale z Zygmuntem Augustem były jakieś rokowania, na mocy których książę Jan spodziewał się posiłków z Polski. Posiłki nie nadeszły; lecz i ta szczupła garstka dworzan, która jego małżonce towarzyszyła, niemałą pomocą się stała przez wierność swą i poświęcenie.

Dalszy bieg wypadków wskazał, iż książę Jan nie mógł polegać ani na Szwedach, ani na Finlandczykach; iż własne jego szyki w wierze się swej chwiała. W tak przykrych okolicznościach garstka polskiego dworu i polskiej czeladzi królowej Katarzyny starczyła za straż, opiekę, za wszystko.

Zima przyszła na niesnaskach z Erykiem, które się przedzierzgnęły wreszcie na wiosnę i latem roku następnego w otwartą wojnę. Walka była tembardziej nierówną, iż wojska Jana zdradzały go, wypowiadały posłuszeństwo, ułatwiały działanie wojskom Eryka: książę finlandzki pozostawał osamotnionym, mógł tylko liczyć na dworzan swej żony i jej niewieście, pełne poświęcenia otoczenie.

Zaiste, pomoc maluczka.

Wobec tak ciężkich warunków Katarzyna doradza mężowi opuścić Finlandyą; morzem przez Gdańsk wracać do Polski, schronienia i odsieczy tam szukać. Jedyna to praktyczna była rada w danej chwili. Jan chciał z niej korzystać, ale karta losów szybko się odwróciła: niestety, nie na lepsze.

Król Szwedzki rozporządzał siłami większemi i stokroć większej zażywał powagi, niż maluczkie książętko finlandzkie. Przed fantastyczną a groźną wolą Eryka upadano na twarz, każdy jego rozkaz spełniano gorliwie, bez szemrania; sytuacji panem on był. Miano go za szaleńca, za okrutnika, lecz przekonana w tym względzie nie wyjawiano, a z wolą i kierunkiem szaleńca tego rachowano się jeszcze wówczas z całą ścisłością.

Skoro więc Eryk zwolnił Finlandczyków od posłuszeństwa ks. Janowi i wojsko przeciw niemu wysłał, wnet wszyscy, najbliżsi nawet, odstępować odeń zaczęli. Myśl uciekania do Polski okazała się spóźnioną. Flota Eryka odcięła odwrót. Zapóźno spostrzegł książę Jan, iż zdrada zewsząd go otacza, iż z tej sieci knowań zdradliwych wyjść nie zdoła. Kiedy zaś zarówno o ucieczkę, jak i o obronie dłuższej i zwyciężkiej, na zamku w Abo niepodobna było myśleć, gdyż załoga zamkowa w wierności swej chwiała się, a nawet księżna prosiła męża, by raczej poddał się, niż pomnażał klęskę uporem dłuższym — Ks. Jan, chociaż skutecznie odpierał oblegających Szwedów, wreszcie poddał zamek. Dłuższa obrona niemożliwa już była; nieprzyjacieli, kilkakrotnie odparty, zajęli górujące stanowisko nad warownią i pociskami swemi skutecznie raził nawet gmach mieszkalny. Godzina zguby wybiła — poddano się...

W dziesięć miesięcy po opuszczeniu Wilna (12 Sierpnia 1563 r.) nasza Jagiellonka stała się wraz z mężem, i całym swym polskim dworem jeńcem króla Eryka. W kilkanaście dni po swej kapitulacji (24 Sierpnia) księstwo Finlandzcy byli wstawieni na okręty z garstką Polaków i francuzem królowej, tudzież z domownikami i wiernymi księciu sługami, którzy ich nie opuszczali w dobrej i złej doli. Całe to jeńców grono wyprawiono do Sztokholmu.

Ow pamiętny dzień rozpoczął dla Katarzyny szereg dni długiej niewoli a bezbrzeżnej niedoli.

Wnet po przybyciu jeńców do szwedzkiej stolicy król Eryk zażądał od Katarzyny, by męża jako oskarżonego o zdradę stanu, opuściła, sama zaś może w takim razie osobą swą rozrządzać. Wedle jej woli, albo do Polski będzie odesłaną, bądź też pozostać może w Szwecyi, gdzie zamieszka, jak się wyrażano „na swej oprawie“. Kata-

ryzna odtrąciła z wielkim hartem woli tę propozycją. Groźba, iż jeżeli nie opuści wnet męża, z nim więzienie dzielić będzie, jej nie przeraziła. Współczesna relacya opowiada o pełnem szlachetności zachowaniu się Katarzyny w owej chwili stanowczej. „Ta cna, świątobliwa pani — czytamy w rzonej relacyi — zdjąwszy pierścień z palca, na którym był napis (łaciński): „Których Bóg połączył, człowiek nie rozdzieli“, wejrzawszy nań z wielkim płaczem, a żałośliwym ku Bogu wzdychaniem, pokładając swą wszystką nadzieję w Panu Bogu, odrzekła, iż ufa Opatrzności, co ich może z rąk tyrańca wybawić, męża zaś nie opuści „jakakolwiek kaźń nań a przygoda przyjdzie“... „raz to Panu Bogu swemu posłubiłam — mówiła bohaterska niewiasta — póki on żyw jest, jego w żadnem nieszczęściu nieopuszczam“... W dalszych słowach królowej przebija się, obok uczucia dla męża, pamięć na obowiązki żony chrześcijanki, kobiety, pochodzącej ze społeczeństwa wysoko trzymającego sztandar moralności i cnót domowych. Słowa jej nie były próżnym dźwiękiem: szedł czyn za niemi, czyn nie chwili, lecz całych lat strapięń ciężkich do przebycia dla każdego, a cóż rzec o kobiecie, zrodzonej na najpotężniejszym tronie ówczesnego świata, dalekiej od wszelkich prywacy!

Dni szwedzkiej niewoli upływały Katarzynie wśród podwójnych trosk: ducha i ciała.

Myśli Eryka, wirując w sferze fantazyi i krwawych widziadeł, wywoływały szereg rozkazów coraz groźniejszych, szereg wysiłen szwedzkiego władcy, by niewolę brata i bratowej uczynić cięższą, by pomnożyć prywację ciała, a boleść ducha pogłębić.

Rozkazy wydawane w chwilach szału, a spełniane niewolniczo, oprócz niewygód, oprócz trosk, wywoływały poniewieranie wielkie osób, uczuć. Wykonawcy rozkazów prześcigali się niejako w srogościach: deptano wszystkie uczucia ludzkie, zapominano o względach należnych nieszczęściu kobiety, która dzieliła jeno los męża, a daleką była od posądzeń, nawet o tę rzekomą zbrodnię stanu, którą na barki księcia Jana włączano. Przyroda surowa Północy, wypiastowała tłumy wykonawców, nieraz tak srogich, jak ów szaleńiec, co rozkazy wydawał. Bardzo rzadko spotykano wśród wykonawców woli Erykowej ludzi z sercem, z myślą jaśniejszą, którzy los oplakany jeńców pragnęli łagodzić.

Księżna Katarzyna wraz z mężem pozbawioną była wszelkiego mienia, ruchomości, kosztowności, sług, dworzan. Nie wpuszczono księżstwa do stolicy, ale wysadzono ich na wyspę skalistą, pustą, wystawioną na wichry groźnej jesieni skandynawskich poryweży. Z zagli uczyniona kotara jedyną osłoną była nieszczęśliwych jeńców, póki nie rozstrzygnął się ich los: gdzie i w jaki sposób osadzeni być mają.

Na dzikiej skale, pod osłoną płachty żaglowej, miała miejsce owa scena podniosła, gdy Katarzyna wysłańcem Eryka rzekła, wskazując na swój słubny pierścień: „Co Bóg złączył człowiek nie rozłączy... Niewiastą jestem, ale mam umysł i serce odważnego męża. Przysięgam księciu Janowi miłość i przyjaźń do śmierci, wiernie i statecznie przysięgi dochowam. Zarówno żyć z nim, jak ginąć jestem gotową... w szczęściu i w niedoli zawsze będę jego małżonką. Najsrozsze postrachy, ani żadne uludne nadzieje mnie od niego nie odłączają... Może mi król grozić, ale oderwać od męża mego nie może“...<sup>12)</sup>

Tak przemawiała najmłodsza latorośl Jagiellowego szczepu, a w jej głosie tyle było stanowczości, ile mocy w duszy, by wszystko dotrzymać co zapowiadała, by sprostać trudnym zadaniom i wytrwać na stanowisku, przez los wskazanem. Sprostaa zadaniu, wytrwała...

Wierząc mężowi, posiadając jego zupełne zaufanie, mniemała, iż może być świadkiem w jego sprawie, iż świadectwem swem na postanowienie króla wpłynie. Nie brała nieszczęsna kobieta w rachubę wrodzonej przewrotności i skłonności

12) Patrz *Historja prawdziwa o przygodzie żalosej...* relacya współczesna, z odpisu XVII w. druk. w *Jagiellonkach*. (T. III).



do okrucieństw tego szaleńca. Ufna przeto, iż coś może polepszyć we wspólnej niedoli mówiła: „Zawinił mój mąż,—mówicie,—toć i ja, jako jego żona, wiadomą jestem najskrytszych jego tajemnic... To jednak na przestrożę królowi Erykowi daję; wiadomą mi jest dokładnie niewinność mojego męża: niechże król pamięta, że niewinność ma swoją opiekę i obronę u króla nad królami...“<sup>13)</sup>

Wielką moc ducha i rezygnacją czerpała Katarzyna z uczuć religijnych, które przewodnią gwiazdą były w życiu wszystkich naszych Jagiellonów. Pełna wiary głębokiej, mówiła Katarzyna do sług i urzędników królewskich, iż „jeszcze Pan Bóg, jako z lwiej paszczeki, tak z mocy a srogości onego tyrana wybawić ich będzie raczył.“ Ta wiara z rodzicowej kolebki, z murów Wawelu wyniesiona, dźwigała ją potężnym ramieniem z otchłani zwątpień, chroniła ją od pochyłości rozpacz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## BŁĘDNA ŚCIEŻKA.

Szkie powieściowy M. WOŁOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Spokój, z jakim mówił to Szydlik, dodał odwagi pani Rajewskiej; tego jeszcze wieczora sprowadzono Rafała do Zielonej i tu, nietyle wiedza lekarza — wezwanego z Tarnowa, ile troskliwość matki i siostry przywiodły go do przytomności i zdrowia.

Ale jakże innym wstał z łóżka po chorobie; jak różnym wydał mu się świat i ludzie, dla którego chciał pracować! Pozbył się zapalenia mózgu, ale zdobył inną chorobę, która się nazywa apatyą.

— Więc to było bańka mydlana, błędna ścieżka, prowadząca na manowce?

I stało się z Rafałem to, co się dzieje w takich wypadkach zwykle: zwątpił o siebie, o sile szlachetnych popędów, przestał wierzyć w idee, ideały, czyny, wreszcie w sprawiedliwość na ziemi. Utracił tę głęboką wiarę, która była podstawą jego życia.

Matka, jak deski ratunku, uczepiła się rady Szydlika, aby go wysłać za granicę. Zimmami też prawie ustał żegnał najdroższych: matkę, która gorzkie zawodziła żale, siostry, które łzami oblewały twarz jego; ożywił się tylko nieco, gdy mu rękę na pożegnanie ścisnął Szydlik; wtedy szepnął do niego:

— Szczęśliwyś tyś nie przegrał całego życia, twoja ścieżka jeszcze cię nie zawiodła.

O Marychnę nawet się nie spytał. I odjechał Rafał, błogosławiony przez matkę, oblewany łzami przez siostry, z uściskiem dłoni Szydlika.

— Boże—szepnęła do Szydlika Anielka, gdy im z oczu zniknęła bryczka, na której pojechał Rafał—on chory, on tak się zmienił, dusza jego jak-gdyby zasypiała.

— Bądź pani spokojna: obudzi się, ozdrowieje, byle tylko po przyjsciu do normalnego stanu nownie na fałszywą ścieżkę nie wszedł.

Anielka wierzyła w słowa Szydlika zwykle; uwierzyła więc i tym razem. Ze łzami w oczach a uśmiechem na ustach, rękę ku niemu wyciągnęła i uściskiem serdecznym podziękowała za słowa nadziei dni lepszych.

Inaczej pocieszała się matka Rafała.

Dla niej wszystko było jedno, co się dzieje w danej chwili z sercem i myślami jedynaka. Ona patrzyła już nieraz na choroby tego rodzaju, wie-

działa, że ten stan przejściowy, ta reakcja spowodowana przez nieszczęście, nastąpić musi i że czas ją usunie niezawodnie.

W Tarnowie u C. K. komisarza, pana Karola v. Brekmanna musiał się dłużej zatrzymać Rójewski, musiał się tam wytłómaczyć reprezentantowi władzy, po co i gdzie jedzie, oraz prosić o paszport za granicę. Pan Brekmann był bardzo energicznym narzędziem w rękach metternichowskiego systematu. Można było powiedzieć, że urodził się urzędnikiem, a nieugięty we wszystkim, jednej tylko ulegał słabości: był despota w biurze, a pantoflem w domu — pantoflem nie względem swojej żony, która po krótkim pożyciu opuściła go, przenosząc się w lepsze światy, ale względem córki Lizy, dla której wyrzekł się wszystkiego, uczuć ludzkich, serca, litości i, dla której gotów był nawet dopuścić się szaleństwa.

Jako urzędnik, i do tego biedny, chciał zapewnić dziecku swemu przyszłość spokojną, szczęście; a że pojmował je jako zadośćuczynienie wszystkim ziemskim zachciankom, przeto każdy środek, każde rzemiosło, a w końcu każda nawet podłość wydała mu się rzeczą uczciwą, skoro tylko prowadziła do zasadniczego celu, polegającego na zebraniu możliwie wielkiej ilości gotówki. Ta żądza wyparła go do dalekiej Galicji, i kazała mu przyjąć obowiązki, które w tym kraju były synonimem czynów najohydniejszych.

Pan Karol v. Brekmann był też nienawidzonym powszechnie.

Teraz, gdy zjawił się u niego Rafał, był już „hofrathem“, rok-rocznie otrzymywał nagrody, podwyższenie pensji, a wszystko dla tego, iż w swojej urzędniczej gorliwości szedł dalej zawsze, aniżeli domagały się tego reskrypta ministerjalne i rozporządzenia najwyższej kancelaryi.

Brekmann drwił sobie z opinii; nie przeczuwał, że wielka i jedyna miłość, jaką miał dla córki, będzie kędyś mścicielem za wszystkie łotrówstwo jego życia.

Mieszkając w Galicji nie mógł on odosabniać dziecka od otoczenia i jego wpływów; musiało się ono bawić jak inne dzieci, a więc stykać się z tymi, których on właśnie przesładował. Dalej hofrat Lizę musiał posyłać do szkoły. Tu rozpoczęło się pierwsze przesładowanie dziecka przez rówieśniczki, w których nazwisko ojca Lizy powtarzano ze zgrozą i wstrętem.

Jedyną istotą, która wśród tej rzeszy złośliwych małców nie dokuczała Lizie, była znana nam już Jadzia.

To stworzyło między nimi serdeczny stosunek, który pozostał nazawsze. Hofrat, wierząc w nieomylnność swoich poglądów na świat i życie, starał się te same przekonania wpoić w córkę, jakie sam posiadał.

Przesładowana w dzieciństwie przez współtowarzyszki Liza uwierzyła, że w tym kraju ludzie są samymi niegodziwcami, nikczemnymi, złymi, niezastługującymi na żadne łaski i względy.

Liza z pewnem zdumieniem przyglądała się Jadzi, a po jakimś czasie, zdumienie to przerodziło się w słabość, więcej nawet, w przyjaźń, oile taka natura, jak Liza, rozumieć ją była zdolna.

Dziewczęta podrasstały. Jedna wyrosła na przystojną pannę; Lizie pod tym względem natura odmówiła swojej łaski: była brzydka.

Wiek, w którym dorastała, przypadł na owe czasy, w których Rafał uczył się złamanym.

Hofrat Brekmann był wtedy jeszcze więcej nienawidzonym, niż zwykle.

Nienawiść ku ojcu przeniosła się na córkę, tak dalece nawet, że Jadzia nie śmiała zajrzeć do domu, w którym mieszkała towarzysząca jej lat dziecinnych, a który powszechnie nazywano domem przeklętym. Liza wokół siebie wcale tych złorzeczeń nie słyszała.

Hofrat przyjął Rafała nader zimno, agdy mu ten swoje prośbę wyłożył, skrzywił się, jakby wypił całą szklanekę octu siedmiu złodziei, i wprost żądaniu odmówił. Rafała odmowa ta rozgniewała wielce i już zirytowany miał wracać do Zielonej, gdy, idąc przez ulicę, spotkał Jadzię.

Ona podniosła nań swoje cudne oczy, on zatrzymał się i, przypominając coś sobie, szepnął:

— A, panna Jadwiga! Jej głosu w piersiach zabrakło. Podana sobie dłoń uściśnęła gorąco i dopiero po długim milczeniu rzekła:

— Pan tutaj?

— Tak, pani. Matka wyprawia mnie za granicę, wyprawia, bo ja sam jeszcze nie mam ochoty. Wszystko mi zresztą jedno, tu czy tam, życie moje niewiele już warte. Nawet rad jestem z tego, że zostanę i że mi Brekmann odmówił paszportu.

— Jeżeli tylko chodzi o paszport, to cofnie sworzporządzenie.

— Trzeba go prosić, a ja, wierz mi pani, nie mam do tego ochoty.

— Nie, nie — pośpiesznie zawołała Jadzia — ale zjrzyj pan przede do nas, należy się to nam, teraz szczególnie. Niedawno jeszcze przyrzekałeś nam pan, że gdy ci życie dokuży, przypomnisz nas sobie. Ja teraz o tę pamięć proszę.

Rafałowi przyszła teraz na pamięć cała spędzona młodość; rozrzewniło go to: poszedł więc do mieszkania matki Jadzi, obejrzał pokój, w którym wraz z Szydlikiem mieszkał, po obiedzie spacerowali razem po mieście, wszędzie przypominając sobie rozkosznie spędzoną przeszłość.

Rafał ożywił się bardzo, zauważył nawet, że Jadzia jest owiele rozumniejszą, niż dawniej, i piękniejszą, że oczy jej nabrały blasku; przez cały wieczór nie spuszczał z niej swego wzroku. Nazajutrz rano Jadzia pobiegła do Lizy, a popołudniu miała już paszport dla Rafała.

Na trzeci dzień znów żegnali się Jadzia z Rafałem. Teraz to pożegnanie było gorętsze, teraz Rafał się już nie ukrywał i powiedział wprost młodemu dziewczęciu jak ją kochał dawniej i jak ją kocha teraz.

— Ja chcę tylko od pana miłości brata, — odparła na to Jadzia.

Ale Rafał zaprotestował przeciwko temu najenergiczniej i mówił:

— Pojadę teraz, odżyję, przyjrę się, jak inni pracują, równowagę moją odzyskam, a potem wrócę tutaj, aby cię, panno Jadwigo, ztąd zabrać, i razem z tobą pracować dalej na wspólne szczęście.

— Jedź, bracie Rafale, pamiętaj o mnie, jeśli możesz....

Lat parę przepędził Rafał na szerokim świecie. Przez ten rok w kraju zmieniły się czasy i stosunki i ludzie. Nie zmieniły się tylko w niczem serca pani Rajewskiej, Anielki, Jadzi i Szydlika. Wszystkie one oczekiwały Rafała z gorączką i niepokojem. Spodziewano go się przywitać innym, aniżeli wyjechał, ale takim, jakim był wtedy, kiedy w życie wchodził. Rzadko pisywał z za granicy, a listy jego były po większej części takie chłodne, że niepokoiły matkę. Zapowiedź powrotu ożywiła ją i wpłynęła nawet na polepszenie zdrowia, które od czasu owych wypadków szwankowało bardzo. Z bijącym sercem i otwartymi rękoma oczekiwała na dworcu kolejowym w Tarnowie pani Rajewska i rzuciła się synowi na szyję, skoro go ujrzała wychodzącego z wagonu.

— Synu mój, mam cię znów przy sobie — zawołała.

Ale Rafał równie gorącym uściskiem na uścisk matczyny nie odpowiedział. Chłodny pocałunek złożył na jej twarzy i tonem przekonującym dodał:

— Unikaj wzruszeń, matko; w twoim wieku to ci szkodzić może.

— O! nie przeżyję już ich więcej, niż przeżyłam lat temu parę.

— W tych czasach kiedy ja byłem jeszcze głupim — dorzucił ironicznie Rafał.

— Nierozważnym — poprawiła matka.

— Głupim, mam, głupim! — z niecierpliwością dorzucił Rafał — a jeśli mnie tak nazwać nie chcesz, to chyba powiedz już: niegodziwym.

— Synu!

— Mamę to przestrasza?

— Krew moja nie może dopuścić się niegodziwości — z obrażoną dumą dorzuciła matka.

— Co tu, proszę mamy, krew ma do roboty! Jeśli moich awantur z przeszłości mama nie



chce nazwać głupcami, to musi je nazwać nikczemnymi.

— Ja myślałam dziecko moje — ozwała się nieśmiało pani Rajewska.

— Ze mi tem zrobisz przykrość?

— Tak!...

— Prawda dla wszystkich musi być jednaka.

Nie zna ona ani synów, ani matek.

— Ale widzisz, w młodości czci się często fałszywych bogów, a taka cześć nie ubliża nikomu.

— O! i bardzo. Ja dzisiejszy wstydę się za siebie wczorajszego. Teraz kolej na trzeźwość, kolej pracy organicznej, rachunku; tego się nauczyłem u obcych. Zobaczysz, mam, co ja w krótkim bardzo czasie z Zielonej uczynię.

Tutaj Rafał począł wyklądać plany swoje matce, a tak dalece go one zajęły, że zapomniał się nawet spytać o zdrowie sióstr, o przyjaciela Szydlika, który z uszczerbkiem własnych interesów nie opuszczał Zielonej, aby tylko pani Rajewskiej swą mężką dłonią nieść pomoc; nie zapytał o nikogo, jakby dłoń nikt nie istniał.

Matka słuchała wszystkiego w milczeniu; uczuła jednak, że syn wszedł na fałszywą ścieżkę, ale milcząc, obiecywała sobie w duchu, że skoro tylko pod dach swej strzechy go dostanie, zdoła go odmienić i umysł jego skierować w inną stronę...

W Tarnowie Rafał zabawił dzień cały, o Jadzie jednak się nie spytał, tak bardzo zajęty był reformami w Zielonej.

Gospodarstwo majątku tego w ostatnich czasach podupadło bardzo. Pani Rajewska liczyła na Rafała, pragnąc na jego barki złożyć cały ciężar kłopotów, który dotąd sama dźwigała.

Już na dwa tygodnie przed przybyciem Rafała Anielka przystroiła pokój przeznaczony dlań na mieszkanie we wszystko, co tylko gust niewieści w Zielonej mógł zgromadzić. Znalazły się więc i dywaniki przed łóżkiem i stare sztychy na ścianach i cały prawie arsenał myśliwski nad łóżkiem; w oknach piękne haftowane firanki w towarzystwie tyłu doniczek kwiatów, ile się ich tylko we framudze pomieścić mogło. Józia, spodziewając się brata, codziennie rwała świeży bukiet z polnych kwiatów i stawiała go na przepysznym inkrustowanym starym biurku. Cały ten pokój i jego umeblowanie mówiły, iż stroiły go tak pięknie kochające ręce. Każdy inny nie Rafał, a nawet on sam, tylko wracając w innym usposobieniu, byłby się uczuł tutaj odrazu szczęśliwym.

— Panicz, panicz nasz jedzie! — wołali zgromadzeni przed gankiem ludzie na odgłos trąbki pocztowej.

Anielka wybiegła z bijącym sercem, Józia, klaszcząc w dłonie, a Szydlik, który także na powitanie przyjaciela do Zielonej przybył, za niemi podążył, i z pewnym wyraźnym niepokojem spoglądał na drogę, po której toczyła się bryczka.

Nareszcie długo oczekiwany gość zajechał przed ganek. Na powitanie go tłoczyli się wszyscy. Od tych uścisków, błogosławieństw, pozdrowień i dobrych słów ludzkich nie mógł się wymówić i obronić Rafał. Widać jednak było na jego twarzy, jak i przy powitaniu z matką, chłód pewien, obojętność, znużenie. Zachowanie się jego wszakże przypisywano męczącej podróży i obojętności nawet nie brano za złe.

Z jednym Szydlikiem powitanie było nieco dłuższe, choć równie chłodne, jak z innymi.

— Dobrze, że jesteś! — zawołał Rafał. — Pragnąłem od tak dawna z tobą się widzieć i szczerzej pomówić.

Do tej szczerzej pogawędki jednak przyszło nie tak prędko. Dawni koledzy i przyjaciele znaleźli się sam-na-sam dopiero po północy, gdy Rafał zdołał zaspokoić wszystkie ciekawe pytania i gdy matka dała znak do spoczynku.

— No, Antku — zawołał Rafał, rzucając się niedbale na kanapę w swoim pokoiku — ciężko opłaciłem swoje szaleństwo. Ale skończyło się już to wszystko; do rozumu przyszedłem, prawdę przejrzałem i już dziś znam doskonale prostą ścieżkę mojego życia.

— Jak to? — zapytał Szydlik.

— Nie obcemi ci są prawdopodobnie, Antku, mój drogi, prace myśli ludzkiej z lat ostatnich.

— Albo co?

— Otóż ich program — to program mój.

— Aha — mruknął Szydlik. — Wiele w tych prądach nowych dobrego.

— Nieprawdaż? — zawołał, podnosząc się nagle z kanapy, Rafał.

— Tak, tylko że jeszcze nie znamy ich praktycznych rezultatów.

— Nauczą nas one trzeźwo patrzeć na rzeczy, krytykować to, co złego jest w nas samych, a w konsekwencji przyjmować co dobre; zmuszą do pracy organicznej.

— Organicznej pracy? A cóż to jest ten nowy wasz wynalazek, któryście „pracą organiczną“ nazwali?

— Co? Ależ to nasza finansowa siła, nasze bogactwo, nasza przyszłość! Przestańmy być ubogimi. Patrzaj — krzyknął entuzjastycznie Rafał, chwytając za piersi Szydlika — jak długa i szeroka ta galicyjska ziemia, pokryjemy powierzchnią tysiącem fabryk, w której tysiące ludzi znajdzie pracę i zarobek. Pozakładamy banki, wytworzymy tani kredyt, który społeczeństwo uwolni od choroby zwanej lichwą. Na wszystkich rynekach kontynentu znajdą się wyroby naszej produkcji; kraj ten zakwitnie tak, że wszyscy z podziwem nań patrzeć będą.

Na ten potok słów długo nie odpowiadał Szydlik. I smutniej jeszcze zrobiło mu się na sercu, niż lat temu kilka, gdy prowadził dyskusję z majorem Furgenkim. Wszystko, co wtedy słyszał, było nierozważne, ale miało jakiś pierwiastek szlachetny; teraz opinie głoszone przez Rafała rysowały mu się w umyśle, jak reklama kupca, który dobrze chce sprzedać towar. Uczuł wstręt do tego nowego hasła, a gdy Rafał, wpatrzony w jego twarz, oczekiwał na odpowiedź, on rzucił mu tylko słów kilka:

— A więc chcesz Galicyą zmienić na handel norymberszczyzny?

— Na co chcesz, byle ogół zarobił na tem.

— O, nie — zawołał teraz Szydlik. — Mylisz się w swoich rachubach, wpadłeś na drogę, która znów jest fałszywą. „Praca organiczna“ wolisz: ależ to stare jak świat hasło! Chcesz podnosić przemysł i handel, zakładać banki: a gdzie i kiedy nie było to obowiązkiem ludzi, rozumiejących pożytek i ekonomiczny rozwój społeczeństwa? Tę twoją pracę organiczną uważano zawsze za pożyteczną, ale nie wywyższano jej do godności programu; tę trzeźwość szanowano, ale nie opierano na niej nadziei żadnych. Dobrą ona była dla tych, co stali na czele, ale nie dla tych, którzy na całokształt pracy zdobywać się musieli. A czy wierz: co się stanie z tą twoją nową ścieżką? Oto znikniemy ona charaktery, zniszczy w nas ludzi. Żąda zdobycia majątku ogarnie nas wszystkich, ze środka stanie się celem, a ty, dziś człowiek — zmienisz się w handlarza.

— Byłem wyhandlował pożytek, mniejsza o to — zawołał z uporem Rafał.

Z całego zachowania się przyjaciela Szydlik mógł wnosić, że upartego nie przekona. Nie dysputował więc już dalej. Na kanapie usiadł, głowę na rękę sparł i w milczeniu słuchał dalszych wywodów Rafała. A gdy ten wszystko, czego się z ksiąg za granicą nauczył i do czego rozumowaniem doszedł — wypowiedział, Szydlik, milcząc, wstał z miejsca i ku drzwiom zmierzzył, szepnąwszy na pożegnanie chłodne — „dobranoc“. Obojętność Szydlika oburzyła Rafała.

— Jakto? — zawołał, — nie mi więcej nad to do powiedzenia nie masz?

— Powiedziałem już wszystko. Uczmy siebie i młodszych braci naszych abecadła. Oto na teraz cały cel życia...

Z temi słowy wyciągnął swoją rękę z dłoni Rafała i śpiesznie z pokoju wyszedł.

— Rozumiem — mruknął do siebie Rafał — fanatyczny ideał i marzyciel. Ha, trudno! jego już nie przekonam.

I znów dalej puścił wodze swym myślom, budował projekty, snuł marzenia na trzeźwym gruncie na skutkach organicznej pracy oparte, której ryccerzem się być mienił.

Tak marząc, zasnął.

Nazajutrz zerwał się dość wcześnie, czasu tracić nie chciał, do matki więc pobiegił i oświadczył

jej, że chce gospodarstwo objąć w swe ręce i według nowych swych teorii poprowadzić.

Z zadowoleniem tę propozycję przyjęła matka i, zwracając się do syna, rzekła:

— W Zielonej, od czasu śmierci nieboszczyka ojca, starałam się wytworzyć rodzinę jedną, nie tylko z wami, ale i z tymi wszystkimi, którzy na okół nas pracowali; szczęście mi sprzyjało, natrafiałam zazwyczaj na ludzi dobrych, serca złote, uczciwość nieposzlakowaną. To ratowało moje położenie, to chroniło mnie i was od zguby. Jednym z takich opatrnościowych ludzi dla nas był twój przyjaciel Antoni: poświęcał on swoje własne interesa naszym, chodził około nich pilnie, pilniej, aniżeli ja mogłam i umiałam. Drugim był stary Badyłski; znasz go: wypiastrzał cię na swoich rękach, przy nas życie całe sterał, nie ma rodziny własnej, my winniśmy mu ją zastąpić. Cały ciężar gospodarstwa spoczywał na nim, — gospodarował jak na własnym.

— A, Jacenty! — zawołał Rafał.

— Tak, on cię też objaśni o wszystkim, co się majątków naszych tyczy. Ja składam władzę w twoje ręce; już mi czas wielki odpocząć.

Rafał spokojnie ucałował matki, ale ani słowa podziękowania za tyloletnie trudy i pracę nie wyrzekł, do swojego pokoju powrócił, Badyłskiego zawołał i księgi gospodarskie przyniesł sobie poleciał.

Świadectwo, jakie pani Rajewska dała Jacentemu, było najzupełniej zasłużone.

Był on wszystkim w Zielonej, faktycznie gospodarował tam, jak na swoim, a że pragnień wielkich nie miał, że potrzeby swoje ograniczać umiał, przeto i pracując wiele, niesłychanie mało kosztował. Spełniał obowiązki rządcy, kasyera, plenipotenty, odbierał przychody i czynił wydatki, a nikt nigdy go do kalkulacyi z nich nie pociągał. A tak był delikatny jednak, że gdy mu przyszło sprawić sobie nowe buty lub nową kapotę, do pani Rajewskiej szedł i z wielką nieśmiałością prosił jej swą przedstawiał.

O zasługach, pensyi, nigdy nie było i mowy; napomknąć sobie o tem nie pozwolił. Smutkami rodziny się smucił, radością cieszył — jednym słowem: przedstawiał jeden z tych, niktających już dziś, typów starych wiernych sług, którzy niegdyś byli przyjaciółmi swych panów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Kolonie letnie ubogich dzieci.

*Kolonie letnie ubogich dzieci*, istniejące u nas od lat siedmiu pocziwem staraniem d-ra Markiewicza a później Fritschego, wytworzyły już stałą instytucyą dobroczynną, za którą miasto nasze winno jest szlachetnej filantropii wdzięczność niemalą. Żaden datek najwspanialszej nawet ofiary, nie zrówna się z drogocennym darem przywrócenia zdrowia istocie słabowitej, zwłaszcza, gdy się to odnosi do tych klas ubogich, gdzie siła do pracy jest jedynym kapitałem posiadany. Kto wie, czem są zacieśnione, przeludnione, wśród najdusznějších zaułków położone mieszkania ubogich warstw ludności naszego miasta, ten zrozumie dobroczynną łaskę wyrwania z pośród nich w czasie upałów letnich słabowitego, niedokrwistego dziecka. W Sz wajcaryi powstała pierwsza myśl tej dobroczynnej działalności. „Kongres kolonii letnich“, odbyty w lecie roku zeszłego w Zurychu pod prezydencją d-ra Biona, którego staraniem stworzyło tę dobroczynną instytucyą, podaje czas jej istnienia na lat dwanaście. My nie zostajemy zbyt w tyle, skoro rok bieżący jest ósmym jej istnienia u nas i do dać trzeba, że nie tylko d-ra Fritsche, nie przygasła, ale kolonie letnie, liczące w roku pierwszym 52 dzieci wysłanych, miały ich w roku zeszłym blisko trzysta (296).



Współczucie publiczności, rozbudzone wezwaniem d-ra Fritsche, dało tu materyalną podstawę rzeczy przez złożenie blisko czterech tysięcy rs. (3.604) wgotówce i hojne ofiary w naturze z przedmiotów potrzebnych na użytek małych kolonistów. Prócz tego dzieci otrzymywały zawsze łaskawie im udzielaną od obywateli wiejskich gościnność w zdrowych i wesołych miejscowościach, a tu zapisać trzeba w historii instytucji trzy nazwiska zacnych pań: Domaniewskiej Mieszkowskiej z Kozłowa, Trzetrzewińskiej z Janowa.

P. Domaniewska wzięła na swój wyłączny koszt siedm dziewcząt, które, jak pisze dr Fritsche w sprawozdaniu za rok 1888, „zajmowała się bardzo serdecznie“ co pocziwie i w tym roku uczynić zamierza. P. Mieszkowska z Kozłowa wybudowała umyślnie dla kolonii letnich dom w zdrowym wesołym miejscu, gdzie w roku zeszłym przebywało w dwóch partyach 57 dziewczątek. P. Walerya Trzetrzewińska od samego początku istnienia kolonii letnich, więc 7 razy, przyjmowała kolonią dziewcząt, których w roku zeszłym przebywało tam w dwóch partyach 54. Kolonie posiadają w Janowie jakoby dom własny, bo oddany im stale przez czcigodną tę panią aż dopóty; dopóki dr Fritsche, lub ktoś z jego ramienia działający będzie tu stał na czele. Przytem pomoce dawane kolonii ze dworu sprawiają, że pobyt tam dzieci bardzo wygodny jest zarazem i najtańszym ze wszystkich innych kolonii, bo na każdą z dziewczynek wypadało w roku zeszłym tylko rs. 6 i coś drobnych.

Dr Fritsche wspomina też bardzo wdzięcznie p. Kamocką z Dłutowa, gdzie przebywała kolonia złożona z 27 chłopców. Umieszczona wśród „przepięknego, gęsto zadrzewionego lasu“, w domu bardzo obszernym i świeżo na potrzeby kolonii odnowionym, mimo trzywiorstowej odległości od dworu, odbierała ztamtąd starannie i regularnie wszystkie łaskawie zapewnione jej pomoce, dzięki tej dobrej pani, do której dr Fritsche stosuje wyrażenie Shakespeare'a: „full of the milk of human kindness“ (pełna mleka ludzkiej dobroci). Pani ta, jak podaje sprawozdanie, mieszkająca podczas zimy w Warszawie, nie zapominała o swoich małych przyjaciółkach i dr Fritsche dodaje: „Nić, która się w Dłutowie nawiązała, nietylko nie zerwała się, ale stała się silniejszą mimo zmienionych okoliczności. Spełnił się przez to, choć w części, mój ideał, o którym w poprzednich sprawozdaniach (z kolonii letnich) pisałem, a to mianowicie, aby opieka nad biednymi dziećmi nie kończyła się z ich powrotem do Warszawy, gdyż tutaj pewna kontrola i pomoc równie im jest potrzebna, jak w miesiącach wakacyjnych“.

Dodać-by można, a nawet trzeba, że ta opieka i kontrola jest stokroć potrzebniejszą, gdy dzieci wracają do ubogich rodziców, gdzie nietylko spotykają się z brakami materyalnymi, od których tam były wolne. Tu dziecko ubogie otoczone jest przez wielorako ujemne wpływy złego przykładu miejskich zaułków; tu w razie choroby uboga matka nie może pielęgnować go troskliwie i nie wie, niestety, jak pielęgnować umiejętnie. Trzeba się z biednymi klassami ludowymi zbliżka spotykać, aby zrozumieć, jaka tu często jest nieświadomość tego, co nam się wydaje, że każdy cywilizowany człowiek już wiedzieć musi. Miłość macierzyńska ma instynkta cudowne, ale choć to znaczy wiele, nie może tak zastąpić wszystkiego, aby nie było tu braków bardzo ciężkich. Naśladowanie przykładu szlachetnej pani z Dłutowa byłoby dziełem takiej dobroczynności chrześcijańskiej, że czoła ludzkie schylić się przed nią mogą, bo wspierać dziecko — dziecku dawać pomoc, to dla przyszłości pracować i żadna praca filantropijna wyższą i więcej obywatelską być nie może. I tu oto jest pole pracy kobiecej tak ważne, że żadna z tych adeptek emancypacji, które się do niej drą z powodu jakoby ciasnego zakresu działalności kobiecej, nie wyższego i większego — nie w zasłudze obywatelskiej donioslejszego znaleźć nie zdoła.

Jedna tylko kolonia dziewcząt, mieszcząca się w Broninie pod Nasielskiem, zajmowała pomieszkowanie najęte, o którym Dr. Fritsche się wyraża, że było „nieszczęśliwe“ a drogie, bo utrzymanie jednej dziewczynki wynosiło 12 rs. i coś dro-

bnych. Porównawszy to z wydatkiem w Janowie widzimy, że koszt był tu dwa razy większy.

Moralne usposobienie dzieci było pod względem kradźliwości, nieposłuszeństwa lepszym niż lat przeszłych i nie nastąpił żaden z tego powodu wypadek, zdarzający się w latach poprzednich, odesłania dziecka rodzicom. Ale inna, bardzo ciężka wada objawiała się, jak i dawniej: nieposzanowanie cudzej własności. „Żadne świadectwa moralności nauczycieli, księży, osób znanych,“ które za dziecko ręczę, nic tu nie znaczą i zapobiedz nie mogą, aby to przestępstwo nie ujawniło się między dziećmi. Zbadanie moralnej strony dziecka przedstawia największe trudności, a jednak zaniechać tego nie można, bo instytucja pragnie działać na dzieci umoralniająco i złego przykładu nie dopuszczać“.

Pracowitem jest zadanie sformowania kolonii, bo trzeba się tu zarazem zajmować odpowiedniemi opatrzeniami każdej z nich w sprzęty i statki kuchenne, w sienniki, prześcieradła i bieliznę dzieci na zmianę, w obuwie i ubranie. Dzieci, których odzież jest uboga i nędznie wyglądająca, nie chcą brać udziału w wycieczkach odleglejszych, potrzebnych nietylko dla zdrowia, dla ćwiczeń ciała, ale dla rozwinięcia wyobrażeń dziecka, pojęć jego o świecie, o naturze. D-r Fritsche skarży się też, że niektóre osoby dobroczynne starają się o wyjazd dzieci znanych sobie wtedy nawet, gdy nie są najbiedniejszymi, co nietylko pozwala się zakradać pewnym różnicom, niedobrze oddziaływającym, ale drugostronnie nadwęża ustawę, gdyż kolonie letnie ustanowione są przede wszystkim dla dzieci zupełnie ubogich.

W bieżącym roku liczba dzieci wysłanych zapewne nie będzie mniejszą, niż w zeszłym. Wyjechało ich już gromadek pięć: Dnia 8 Lipca wyprawiono trzy pierwsze partye: 24 chłopców do Żyrardowa, 55 do Celestynowa (stacya kolei Nadwiślańskiej) 24 dziewcząt do Nowego Dworu. D. 12 Lipca wyjechały dwie partye dziewczynek, do dwóch zacnych pań: Mieszkowskiej w Kozłowie pod Gąsocinem i Trzetrzewińskiej w Janowie pod Nowo-Mińskiem. Razem wyjechało już dzieci 229. Ile biednego tego roju młodych istot ludzkich wciągnie sobie w pierś ożywczy oddech świeżego powietrza w drugim sezonie, w Sierpniu, zależeć to będzie od zebranego na to grosza. Do zbierania składek upoważnione osoby są pp. Prof. Adolf Pawiński, St. Walewski, Julia Walewska, Daniela Kosińska, St. hr. Kosakowski, hr. Klementyna Łubieńska, St. Lesznowski, dr. St. Markiewicz, dr. Gustaw Fritsche (Aleja Jerozolimska, Nr. 80).

Zeszłoroczny wykaz składek przedstawia stosunkowo małą liczbę uczestniczących tu dzieci — za małą, nie ze względów na te ubogie, którem świadczy się miłosierdzie, ale na te, które powinny tu brać udział, jako dające grosz swój na ulżenie niedoli rówieśników. Wychowanie, dobrze prowadzone, powinno to sobie za cel brać, aby już wiek młody poczuwał się do pewnych obowiązków ludzkości i ofiary na rzecz ogólną, a tu właśnie jest najlepsze pole do tego. Serce dziecka naturalnie się wzrusza niedolą innego dziecka i matki powinny korzystać ze sposobności, która otwiera im drogę do wprowadzenia w pierś dzieciną nietylko samego uczucia litości. Przedstawia tu się zarazem umysłowi młodemu pierwsze pojęcie węzłów, które łączą społeczność ludzką — pojęcie obowiązku uczestniczenia w działaniach zbiorowych. Dla pewnych wpływów moralnych znaczy to wiele więcej, niżeli jałmużna, dana biednemu, którego nędra uzalenie się dziecka wzbudzi, jakkolwiek w całokształcie działań wychowawczych, i to jest dla edukacji uczucia rzeczą wielce potrzebną. Ale wzruszenie to rzecz przolotna i często wchodzi tu w grę temperament żywszy, skorszy do uniesień — działanie nerwów, gdy poczucie się dziecka do obowiązku ofiary na rzecz ogółu, poczucie się dziecka do łączności z tym ogółem bliźnich swoich, to jedna z bardzo ważnych podstaw, na których wyrabiają się przekonania człowieka i obywatela.

Samolubem będzie niewątpliwie ten, kto jako dziecko nie uczuł w sobie nigdy miłostnego, litośnego uderzenia serca nad niedolą bliźnich swo-

ich, i to samo powtarza się w kierunku innych, wyższego zakresu uczuć człowieka, jeżeli młodość nie zazna zgoła serdecznego w tej sferze wzruszenia, nie poczuje się do łączności z powszechnością swoją i tak rodzice, jak wychowcy, obowiązani są te głębie młodego serca wzruszać, aby nie zastały się w samolubstwie obojętnem. W sprawozdaniu Dr. Fritschego z przyjemnością spotyka czytelnik hojny współdział, jaki w ofiarach na kolonie letnie wzięła dwukrotnie pensya zacnej p. Jadwigi Sikorskiej, a dodać trzeba jedyną z wychowawczych zakładów naszego miasta.

Za pośrednictwem redakcyi *Wieczorów Rodzinnych* młodzi czytelnicy nadesłali 37 rs. co też wskazuje dobre skierowanie uwagi młodej na obowiązki człowieka społecznego. Wacusz R. z *Bluszczu* nadesłał rs. 1, Genio Sokołowski rs. 5, Felutka i Julcio Braun rs. 1, Marysia Wodzińska rs. 5.

*Przegląd Pedagogiczny* czyniąc uwagi swoje nad sprawozdaniem Dr. Fritsche, dodaje, że „wartoby pomyśleć o wysyłaniu dzieci skrofalicznych i dotkniętych innemi słabościami do zdrojowisk leczniczych, jak Ciechocinek, Solec, Busk“ jako czyni *Galicyskie Stowarzyszenie kolonii letnich*, które wzorowo urządziło w Rymanowie i utrzymuje tam bezpłatnie zakład leczniczy dla dzieci niezamożnych. Żądania tego spełnienie byłoby niewątpliwie wielce pożytecznym i daj Boże, aby zawiązało się stowarzyszenie, o jakim mowa. Radom już nawet praktykuje od lat dwóch wysyłkę dzieci słabych do Buska i Solca, ale jedna rzecz dobra nie przeszkadza drugiej i powtarzając za *Przeglądem Pedagogicznym*, że „wartoby o tem pomyśleć“, zakończę nakazem Brodzińskiego.

Czyń każdy w swoim kółku, co każe Duch Boży,  
A całość sama się złoży...

Marya Ilnicka.

## POLEMIKA

### O „Dziennik Zofii Komierowskiej“.

W NN. 1—6 *Bluszczu*. Z r. b. wydrukowaliśmy *Dziennik Zofii Komierowskiej*. Znajdują się w nim częste wzmianki o Adamie Mickiewiczu, jego domu i rodzinie. Drukując ten pamiętnik, nie zalecaliśmy go nikomu, jako pierwszorzędnej wartości świadectwa historyczno-literackiego, nie przyjmowaliśmy na siebie żadnej odpowiedzialności za treść, której skontrolowanie zresztą w zakresie stosunków i wrażeń osobistych było niemożliwym. Sama forma ogłoszenia dziennika, bez wstępów i dopisków sprawiła, że żyjąca jeszcze autorka z dziennikiem swym wystąpiła bezpośrednio przed czytelników i krytykę; *Bluszcz* był tylko pośrednikiem w ujawnieniu wrażeń jej z pobytu w Paryżu w r. 1853 — wrażeń przeważnie obchodzących ogół ludzi oświeconych:

Po wydrukowaniu dziennika — wydrukowaniu niezupełnym — p. Marya Górecka, najstarsza z dzieci wielkiego poety, ogłosiła drugie książkowe wydanie cennych *Wspomnień* swoich o *Adamie Mickiewiczu*, drukowanych najpierwej w *Kronice Rodzinnej*.

W zakończeniu ich autorka, wytykając błędność wielu rzeczy pisanych o Autorze *Grażyny*, zatrzymuje się dłużej nad *Dziennikiem Zofii Komierowskiej*. Cały ten ustęp (str. 157—162) ze swej książki p. Górecka nadesłała Redakcyi naszej do wydrukowania, i stosownie do życzenia jej drukujemy go w całej rozciągłości, stawiając znowu bezpośrednio autorkę *Dziennika* wobec autorki *Wspomnień*. Przytem jednak dodajemy od siebie następujące wyjaśnienie:

1) Korowód z *boeuf gras* odbywał się nie tylko w ostatni wtorek, ale i w sam popielec *zrana*;



działo się to może w niektórych dzielnicach Paryża, ale działo się napewno w *Quartier latin* na ulicach Seine, Bucy, Monsieur le Prince, Saint-André, de l'École de Médecine i t. d. Podobnie i rzeźnicy Warszawscy w tejsamej epoce wyprawiali sobie bal w Willanowie, w sam popielec po południu.

2) Mickiewicz nie mógł *nie lubić Słowackiego*, miał bowiem na takie *nie lubienie* zbyt wielki umysł. Dużo wprawdzie przeciwności rozdzielało dwóch najpierwszych naszych poetów w życiu, ale po śmierci autora *Anhellego*, po przebyciu potężnego procesu wskutek doznanych zawodów duchowych przez Mickiewicza, mógł już autor *Grązyny* z uznaniem przyjmować utwór współczesnego poety, samą pięknoscą i siłą wyrażenia podbijający umysły.

Prawda, że świadectwo jednego człowieka nie wystarcza do ustalenia niezawodności faktu, ale zanim będą dwa świadectwa jednoznaczne, musi być wprzód jedno, czekające na potwierdzenie. Taki właśnie charakter ma w *Dzienniku* wzmianka o Agamemnonie.

3) Ten koloryt, o jakim mówi pani Górecka, odnosząc go do sposobu malowania stosunków domowych wielkiego poety przez różnych pamiętnikarzy, spotykać się daje nie w samym tylko *Dzienniku Zofii Komierowskiej*. Starsi ludzie znajdowali go w żywych opowiadaniach rodaków na miejscu, w Paryżu. Może on być błędnym, ale nie wprowadza go ani lekkomyślność, ani też jakaś niepojęta zła wola. Sama korespondencya, wydana przez Dzieci Autora, upoważnia do mniemań idących w tym właśnie kierunku, jaki przyjęły wrażenia Zofii Komierowskiej. Niechaj tu wystarczy powołanie się na list Adama Mickiewicza do pani Konstancyi Wodpool z d. 18 Maja 1855 roku.

Po takim wyjaśnieniu dajemy miejsce odezwie pani Maryi Góreckiej.

„Obecnie doszłam do tego przekonania, że w miarę ubywania z tego świata osób rzeczywiste blisko z ojcem moim znajomych, coraz bardziej się zwiększa ilość ogłaszanych niby-to wspomnień o nim, przez osoby upewniające o wielkiej z nim zażyłości, chociaż niekiedy wcale go nawet nie znały. Zresztą rzecz ta bardzo łatwo da się wytłómaczyć. Im mniej jest świadków żyjących, tem śmieiej bujać można po krainie fantazyi.

„Groby milczą. Protest z nich się nie odezwie.

„Dopóki jednak ja żyję, dopóty uważam za święty obowiązek prostować wszelkie fałszy, zaprzeczając oszczerstwom. Bo nie spodziewam się, żeby ktokolwiek mógł wątpić, iż w rzeczach tyjących się domowego życia ojca mego, ja tylko jedynie z pomiędzy teraz żyjących najlepiej mogę być poinformowana.

„Otoż ten obowiązek nakazuje mi teraz wymienić umieszczony w *Bluszczu*, przed kilku miesiącami, *Dziennik Zofii Komierowskiej*.

„Autorka twierdzi, że go pisała w roku 1853. Ale rzeczą jest nader widoczną, że go pisała teraz, dopełniając wyobraźnią to wszystko, co w przeciągu trzydziestu pięciu lat z pamięci uleciało.

„Zapowiadam wszakże wyraźnie, że bynajmniej nie podaję w wątpliwość całego *Dziennika*, ale to, co mówię, stosuję tylko do opowiadań, tyjących się rodziców moich.

„Ze *Dziennik* ten nie był pisany w roku 1853, lecz dopiero teraz go ułożono i tytuł „*Dziennika*“ nadano, o tem dostatecznie przekonać może opis Popielca. Pani K. zapisuje w swym *quasi* „*Dzienniku*“, że była w dzień popielcowy na processyi wołu tuczonego, i że za kilka dni potem takąż samą uroczystość znowu się odbędzie. Tymczasem w Paryżu nigdy karnawałowe obrzędy w dzień popielcowy się nie odbywały. Zwyczaj ten miejscowy obchodzony zawsze bywał w ostatnie dni Zapust, i „*boeu/gras*“ w Tłusty Wtorek wieczorem, uroczyste do rzeźalni się odprowadzały, gdzie go pod nóż oddawano. Tembardziej zaś „w kilka dni potem“ uroczystość ta powtarzać się nie mogła.

„W innem znów miejscu pani K. pisze pod datą 25 Maja 1853: „kucharza“ już nie zastałam. Zabrał go hr. „*Działyński*, narzeczony ks. Izabe-

li.“ Ponieważ ks. Izabela Czartoryska, poszła za mąż dopiero w 1857, a bardzo krótko była narzeczona, więc ten ustęp „*Dziennika*“ pani K. wytłómaczyć-by się dał tylko iście proroczem natchnieniem.

„Anachronizmy te ani gorszą, ani też zgoła mnie obchodzą, lecz wskazuję na nie tylko dla przekonania, jakiego nam figla pamięć nasza wyplatać może, jeżeli zamierzymy pisać nasz dziennik po upływie lat trzydziestu kilku.

„Jakkolwiek pani K. zaszczycała rodziców moich znajomością swoją właśnie w czasie wycieczki mojej do Włoch, to jednak niezmiernie mi żal, że nigdy potem żadnego wspomnienia o niej w domu nie słyszałam, i dopiero teraz „*Dziennikowi*“ zawdzięczam dowiedzenie się o jej istnieniu. Ta uwaga moja nie stanowiłaby zarzutu poważnego, lecz przy zarzutach następnych, i ona nabierze pewnego znaczenia.

„Nie mogę wyjść z podziwienia, wyczytując w „*dzienniku*“, że ojciec mój przy czarnej kawie zadeklamował *Agamemnona* Słowackiego (!!!). Nigdy w życiu ani jednego wiersza Słowackiego z ust ojca nie słyszałam, gdyż go nie lubił i nawet rozmowy o nim unikał. A miałyby całego *Agamemnona* na pamięć się wyuczać, żeby się nim potem przed panią K. popisować!

„Ale w osłupienie mię wprawia opowiadanie o śpiewaniu przez ojca „na całe gardło“ piosnki ludowej mazowieckiej:

„Tańcowała Małgorzata,  
„Tańcował i Grzegorz.“

„Nigdy tej piosnki nie słyszała; lecz po przeczytaniu „*Dziennika*“ zajrzałam do cennego zbioru Oskara Kolberga i wtedy już zdumienie moje doszło do najwyższego stopnia. Bo włożenie w usta ojca naszego, w towarzystwie przyzwoitem — piosnki karczemnej, mającej nawet warianty cyniczne—nie waham się nazwać... roztrągnięciem nie do przebaczenia.

„A cóż dopiero powiedzieć o kolorycie, jakim pani K. raczyła powlec postać matki mojej!

„Sąd dzieci o rodzicach z samej natury rzeczy musi być poniekąd stronnym. To też nie spierałabym się z nikim, komuby się rodzice moi nie podobali, gdyż to rzecz gustu, a z gustem wojuwać niepodobna.

„Ale wszyscy, którzy tylko znali matkę naszą, jednoznacznie przyznawali, że obok wytwornego wychowania, była pełną taktu i niezrównanej delikatności. A jednak pani K. opowiada, że kiedy razu pewnego, przy wieczornej herbacie, ojciec mój improwizował, matka mu przerwała, żądając drobnych na kupienie bułek!

„Mogła pani K. zapomnieć, że po późnym obiedzie u rodziców moich, podawano zwykle tylko czystą herbatę, przy której nigdy bułki się nie ukazywały; ale pamiętać należało, że kto wdaje się w pisanie drobiazgów, ten drobiazgowo też dokładnym być musi, a cóż dopiero, gdy się ośmiela cudze słowa przytaczać!“

Marya Górecka.

## Kronika działalności kobiecej.

— Schronienie nauczycielek, instytucya, której nie powinno opuszczać nigdy współczucie publiczności, ogłosiła sprawozdanie swoje za rok ubiegły, a siódmy istnienia swego. Głównym celem *Schronienia* jest spokojny przytułek dla sędziwych i spracowanych nauczycielek, oraz czasowe pomieszczenie nauczycielek jeszcze czynnych, zajęta poszukujących. W roku ubiegłym przebywało w *Schronieniu* mieszkanek stałych 23, z których sześć złożyło jednorazowego wkładu po rs. 1.000, reszta została przyjęta dobroczynnie. Dotychczasowe fundusze a w następstwie tego i lokal, zajmowany przy ulicy Kruczej Nr. 7., nie pozwalają na przyjmowanie większej liczby pen-

syonerek-emerytek, choć niestety! podań proszących o to, otrzymano więcej niż 130. Czasowo przebywało w *Schronieniu* nauczycielek czynnych 44, opłacając dziennie pół rubla za całkowite utrzymanie. Zakład odmawiać też musiał dla braku miejsca licznym żądaniom nauczycielek, które chciały tu szukać chwilowego odpoczynku po pracy, lub poprawienia zdrowia przy porady lekarzy warszawskich.

*Schronienie* mogłoby się stać jakgdyby domem rodzinnym dla znacznej liczby nauczycielek, które go nie mają: mogłoby dawać, zwłaszcza młodym i mniej doświadczonej, mniej stosunków mającym, opiekę taką, jakiej trudno im znaleźć w kantorach strężeń nauczycielek, lub u osób prywatnych, gdy, przybywając z prowincyi, potrzebują bawić w Warszawie. Mogłoby to zarazem w sposób pojęty najpoczciwiej, przysporzyć zakładowi korzyści pewnej, bo przy większej liczbie konsumentek utrzymanie zawsze taniej wypadła. Zarząd *Schronienia* pragnie też zmienić mieszkanie na obszerniejsze, ale ziszczenie zamiaru zależy od rozporządzalnego funduszu.

Ogólnie mieściło *Schronienie* w murach swoich przez ciąg roku sprawodawczego 75 osób, które przepędziły tam 10.732 dni. Żywność jednej osoby kosztowała dziennie 21 kop.; całkowite zaś utrzymanie, włączając w to odzież, bieliznę, komorne, opał, światło i usługę, 176 rs. i coś drobnych.

Majątek stowarzyszenia z końcem 1888 r. wynosił 7.396 rs., a to: własnego mienia 1.335 rs. i deponowanych dla niego w kasie administracyjnej 135 rs.; złożonego funduszu nauczycielek jest 5.904 rs.; wartość ruchomości Stowarzyszenia przedstawia 2.056 rs., co czyni razem 9.446 rs. Procent od takiej sumy nie mógłby starczyć na utrzymanie *Schronienia*, zatem był jego opierać się musi na wpływach niestających, a te są: roczna opłata od członków założycieli, członków rzeczywistych i członków wspomagających, wynosząca rocznie od pierwszych 150 rs., od drugich rs. 10, od trzecich pięć rs. Z tego źródła wpłynęło w roku ubiegłym do kasy *Schronienia* 1.745 rs.; ofiary od osób prywatnych dały 712 rs.; pobyt nauczycielek czynnych w *Schronieniu* przyniósł 782 rs., ze zwrotu za dawniejszy pobyt nauczycielek czynnych 382 rs.; z odczytów i koncertu na rzecz zakładu 652 rs.; z drobnych wpływów przeszło rs. 50. Zaczyna naczelniczka zakładu, p. Agnieszka Helwich, prowadzi na korzyść zakładu biuro strężeń nauczycielek, które przyniosło 904 rs. — ogółem dochód roczny był 5.821 rs. Wydatki, wśród których samo komorne zabiera 1.550 rs., żywność 3.392 rs.; odzież, pościel, bielizna i pranie 215; opał i światło 450, środki lecznicze 182 rs. — wynosiły 7.572 rs. Przewyżkę wydatku nad dochodem: 174 rs., pokryło stowarzyszenie z funduszy osobistych, co przecież miejsca mieć nie powinno, ponieważ takiemu zakładowi należy się ze strony społeczeństwa współczucie, odpowiednie zasługom stanu nauczycielskiego, który pracuje dla przyszłości. Taka instytucya, jak *Schronienie*, to prawdziwie *res sacra*, którą powinna otaczać życzliwość wszystkich. A nawet interessowi dobrze pojętemu—wychowawczemu interessowi rodzin godzi się czuć nad tem, aby nauczycielstwo prywatne nie było zawodem, odstrasającym od siebie osobistości wyższe przez smutną perspektywę nędzy u swego kresu. Wielka, ogromna ważność tego zawodu dla rzeczy ogólnej tak się wyraźnie rysuje na tle stosunków nowoczesnego życia, że dowodzić jej nie potrzeba.

Biuro strężeń zakładu podobnie przemawia za sobą w osobie prowadzącej je pani, i tu także roztropność rodziców powinna zapewnić przedsięwzięciu powodzenie. Ale przedewszystkiem dbać powinny o ugruntowanie instytucyi nauczycielki, dziś czynne, bo to dla znacznej ich części port — uchrona dla ich starości. Dla kobiety, jeżeli samotną jest na świecie, wiek późniejszy jest pełnym trosk i braków, nawet przy środkach zapewniających wygodne utrzymanie, a cóż dopiero gdy ich brakuje — gdy są bardzo skromne? Stowarzyszenia tworzą pod względem moralnym i materyalnym jakoby rodzinę drugą, i dlatego też każda nauczycielka rozsądna powinna do sto-



warzyszenia nauczycielek należeć. Pięć rubli na rok nie może przedstawiać dla żadnej z pośród nich summy trudnej do odłożenia, a gdyby większość, jeżeli już nie wszystkie, przystąpiła do związku, *Schronienie nauczycielek* stałoby się instytucją kwitnącą. Ta nawet, żeby z niej korzystać nie porzebowała, jeszcze źle grosza nie straci, gdy go na taki dobry cel użyje.

— Leokadya Ziebig ofiarowała dla Domu Przytułku Starców i Sierot warszawskiej gminy ewangelickiej, kamienicę w Warszawie pod Nr. 813.

— Katalog wystawy pracy kobiecej mylnie podał założenie w Piotrkowie bezpłatnej szkoły koronek i szmuklerszczyzny, oraz zaprowadzenie nauki koronek w ochronie tamtejszej na r. 1844, czyli o czterdzieści lat pierwej, niżeli to miało miejsce, jak prostuje omyłkę pismo miejscowe *Tydzień*. Zatem pierwszą bezpłatną szkołą nauki koronek w naszej części kraju pozostaje, jak wiedzieliśmy dotąd, szkoła p. Heleny Gabryelowej, która dla stron naszych jest pierwszą szczenieliwą tej roboty między ludem. Jedną z opiekunek ochrony VI w Warszawie upomina się także o opuszczenie w liście nagród, przyznanych na Wystawie pracy kobiecej, listu pochwalnego, przyznanego wspomnianej Ochronie.

— W Wiesbaden praktykuje przez czas sezonu kąpielowego masażystka, Marya Kolnarska pochodząca z Proszowskiego. Kształciła się do zawodu medycznego w Utrechcie, mieszka stale w Frankfurcie gdzie cieszy się wielką wziętością.

— P. Laura Loewenberg Warszawianka, której szkice ukazywały się często na wystawach naszych, kształci się obecnie w Neapolu, z kąd nadesłała do salonu Krywulca trzy malowidła na blasze miedzianej.

— Królowa Małgorzata włoska wyjechała była z Rzymu do Neapolu na czas uroczystości odsłonięcia pomnika Jordana Bruno.

— W piśmie angielskim „Nineteenth Century“ (Wiek Dziewiętnasty) grono pań z wyższych sfer arystokracji rodu i inteligencji wydało odezwę do kobiet swego narodu przeciw udziałowi kobiet przy głosowaniu wyborczem do parlamentu, wykazując różnicę powołań płci obu. Kobiety angielskie nie pozostają bezczynnymi wśród pracy dla postępu i rozwoju sił swego narodu. Nietylko wydział dobroczynności publicznej otworzył im szerokie pole działania, mają go one w wychowaniu przez należenie do rad szkolnych. I wobec spraw politycznych obojętnymi nie są, działając tu przez wychowanie również — przez wychowanie dzieci własnych, którem szczenieliwie i uczciwie pojęte uczucie obowiązków obywatelskich. W sercach tak synów, jak córek, pragną one jednako rozniecać ten ogień święty, a miłość ojczyzny łączyć z pojęciem moralności, ukazując jako podstawę dla cnot publicznych, cnoty prywatne.

Nie chcą one mieszać się kobiet do agitacji wyborczej, bo niema tego potrzeby żadnej i mężczyzna angielski da sobie radę sam w polityce czynnej, zwłaszcza że kobiety wniosłyby tam pierwiastek niepożądany, gdyż te właśnie, które tu występują, pozbywają się zwykle zasadniczych cnot kobiecych, fałszywie pojmując posłannictwo kobiety i znaczenie pracy, która na dział niewieści wypada. Podział pracy istnieje w całym mechanizmie natury; człowiek wprowadza go również w pracę swoją, i wszędzie, u wszystkich narodów ten wrodzony jego instynkt rozdzielił działalność płci na podstawie sił i skłonności naturalnych kobiety i mężczyzny. Różnice nie są bynajmniej niższością jednych a wyższością drugich, lecz tylko odmiennością, której nikt chyba nie zaprzeczy.

— Wielka pani angielska, lady Carlisle, chcąc zapoznać lud swoich włości z Yorkshire i Kumberlandu z wielkością i cywilizacyjnymi postęпами Londynu, zaprasza do siebie do Londynu partiami swoich dzierżawców, co odpowiada naszym gospodarzom, i tam osobiście okazuje im wszystko, co stolica Anglii ma godnego szczególnej uwagi. W program ten wchodzi i bytność w Parlamencie; w Czerwcu bieżącego roku sześciu wieśniaków kumberlandzkich zostało wprowadzonych na galerię Izby Niższej przez znajomego lady Carlisle, lorda Wilfrida Lawson.

— Miss Kalisch, filantropka, zajmująca się domowym dobrobytem ludowych klas Londynu, napisała i wydała z oddzielnych przepisów złożoną książkę dla taniej kuchni, które oddzielnie kupowane być mogą po cenie półpenny. Zysk ze sprzedaży idzie na ułatwienie nauki dobrego gotowania między kobietami ludu londyńskiego Miss Kalisch jest przełożoną w szkole gotowania dziewcząt z ludu — w szkole dobroczynnej, będącej w związku z dobroczynnym również Towarzystwem Swobodnych Szkół Wieczornych: „Recreative Evening Schools Association.“

— Złote medale Wystawy paryskiej dla malarzy i rzeźbiarzy otrzymało kobiet trzy: Francuzka Dumont Breton, Szwajcarka Breslau i w wydziale międzynarodowym — Michlena.

## Z bieżącej chwili.

— **Ochrony warszawskie** gromadziły w ubiegłym roku szkolnym 4.950 dzieci, chłopców 1.950, dziewcząt 3.000.

— **Szkola rzemiosł imienia Konarskiego** przyjmuje podania o przyjęcie od d. 12 Sierpnia. Należy dołączyć metrykę, świadectwo pochodzenia i szczepionej ospy. Szkoła przyjmuje dzieci wszelkich stanów i wyznań; wiek przyjęcia do klasy I jest od lat 9 do 13. Opłata roczna za naukę szkolną i rzemiosł rs. 10. Z rzemiosł zaprowadzono dotychczas stolarstwo i ślusarstwo.

— **Kolonia ogrodnicza** Janków pod Rakowcem, gdzie prowadzi się hodowla nasion i drzew owocowych, rozwija się bardzo pomyślnie i może już oddziaływać bardzo korzystnie na nasz przemysł ogrodniczo-sadowniczy. W bieżącym roku hodowla wisiem dostarczyła ich 20.000 funtów, mimo szkodliwych przymrozków wiosennych. Ze owoce mogą być i są już do pewnego stopnia ważną gałęzią handlu wywozowego, wiemy dowiedzieć, bo właśnie w tych czasach przebywał między nami Anglik, czyniący zamówienia. U nas to odwiecznie dział pracy kobiecej — pani ze dworu.

— **Prezes stowarzyszenia ogrodniczego**, Alexandrowicz, zapowiedział urządzenia wielkiej wystawy ogrodniczej w Warszawie na rok 1891.

— **W zabytkach starożytności naszych** poczynił wielkie szkody pożar miasteczka Połańca wraz z kościołem. Oprócz dwóch cennych obrazów: jednego z XV, drugiego z XVII w., spłonęła biblioteka kościelna, mieszcząca 188 dzieł, między którymi były inkunabuły z 1444, z 1445 i z 1495 r. Arytmetyka drukowana w Krakowie w 1537 r.; mszał drukowany także w Krakowie w 1545 r. Z całej biblioteki ocalały tylko trzy dzieła, które proboszcz połański, ks. Knothe, miał ze sobą w Sandomierzu, a wśród nich znajduje się manuskrypt ostatniej księgi historii Długosza.

Spłonęły wraz z biblioteką, złożone tam trzy nadania dla cechów połańskich: szewckiego,

tkackiego, i kowalskiego z pieczęciami i podpisanymi Zygmunta III, Władysława IV i Augusta II, oraz księga rachunkowa cechu szynkarskiego z r. 1520. Spłonęła karta erekcyjna Bractwa Literackiego, wydana w Krakowie 1490 r., podpisana przez królewicza Fryderyka Jagiellończyka, elektę biskupa krakowskiego. Na pieczęci był anioł z rozpostartymi skrzydłami, trzymający oburącz tarczę z herbem Jagiellońskim. Prócz tej pieczęci była i druga, na szkarłatnym jedwabnym sznurku wisząca, Zbigniewa Oleśnickiego prymasa, arcybiskupa gnieźnieńskiego i trzech innych biskupów. Szóstej brakowało i ślad tylko po niej widać było.

Wśród nielicznych uratowanych z pożaru przedmiotów: znajduje się obraz na płótnie, pędzla włoskiego, przedstawiający patrona kościoła: Ś-go Marcina, u stóp którego klęczy fundator kościoła Zygmunt August, oraz Zygmunt Stary i Bona w paradnym powłóczystym stroju z koronkami, dalej też kilku panów, z których jeden, pochylony ku królowej, zdaje się mówić jej coś ze zwicha. Uratowano także stare drewniane krzesło, na którym siadywał Kościuszko, gdy obozując w 1794 r. pod Połańcem, kwaterował w domu Tekli Jungiewiczowej wdowy, z której osobą łączy się romantyczna historia.

Urodzoną w pobliżu miasteczka Staszewie, z rodziny żydowskiej, pokochał dla jej rzadkiej piękności mieszczanin połański, sławetny Szymon Jungiewicz, a że był również kochanym, wykradł ją i przeprawiwszy się z nią za Wisłę, zaślubił, aż powróciwszy po pewnym czasie w rodzinne strony, zamieszkał w domu własnym na przedmieście Zapniewie. Tamto, już u wdowy, stał kwarterą Kościuszko i tamto przechowało się w czci należnej krzesło, na którym siadywał, a które prawnuk pięknej Tekli, obecnie właściciel owego domu na Zapniewie, p. Michał Murczkiewicz, jako starożytną pamiątkę dla skarbcza kościelnego ofiarował, a którą, gdy teraz płomień ogarnął kościół i jego przyległości, p. Aleksander Knothe, brat proboszcza, z pożaru wyniósł. Obraz erekcyjny Ś-go Marcina, uratował podobnie senior bractwa różancowego przy kościele miejscowym, Jungiewicz.

Stare rody rzuciły się do ratunku rzeczy starych, bo i rodzina Knothe już za czasów miłosnego dramatu wykradzionej oblubienicy była osiadłą w tamtych stronach: w miasteczku Staszowie i z domu posiadanego przez tę rodzinę uchodziła nowa Julia do swego Romeo.

— **Świętojański targ na zioła** odbywa się corocznie w Wilnie, w dzień Ś-go Jana, gdy lud okoliczny gromadzi się licznie do starożytnego kościoła pod nazwaniem tego Świętego, fundacyi jeszcze Jagielly, na odpust. Po za murami świątyni, pomiędzy nią a tak zwaną Kardynalią rozkłada się po stołach, po płachtach na ziemi, towar ten wonny, mający leczyć wszystkie choroby i dolegliwości ludzkie. Lud zbiera różne aromatyczne zioła tak jeszcze, jak za czasów pogańskich, w noc świętojańską — to jest w święto bogini Łady i porankiem niesie do miasta na sprzedaż, przeciw żaden botanik nie doszedłby tu nie przez podane mu ich nazwiska, bo odmienne też są, ludowe, upowszechnione jednak w mowie polskiej i między klasami wykształconymi.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwedzka, skreślił M. Dubiecki. — Błędna Ścieżka. Szkic powieściowy, M. Wołowskiego. — Kolonie letnie ubogich dzieci, przez M. Ilnicką. — Polemika „o Dziennik Zofii Komierowskiej“ przez Maryą Górecką. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **O Własnej Mocy**, przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 5 Іюля 1889 года.